JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

MACOCHA, TOM TRZECI

Józef Kraszewski

Macocha, tom trzeci

«Public Domain»

Kraszewski J.

Macocha, tom trzeci / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

© Kraszewski J.
© Public Domain

Содержание

Tom trzeci 5
I 5
II 14
III 23
Конец ознакомительного фрагмента. 27

Józef Ignacy Kraszewski
Macocha, tom trzeci

Tom trzeci

I

Nieszczęśliwa wycieczka pani Dobkowej, którą ciekawość widzenia mężowskich skarbów o mało życia nie pozbawiła, chociaż winę całego wypadku zrzucono na rotmistrza, który raz jeszcze wygnany został z Borowiec, zostawiła po sobie w stosunkach obojga małżonków niezatarte ślady. Oślepły starzec zaczął jaśniej widzieć swe położenie. Odzyskał wprawdzie klucze, nie poniósł szkody, lecz tajemnica została zdradzona, zapasy jego i rodziny odwieczne obrachowano, obce oko je widziało, wypędzony rotmistrz miał roznieść po świecie wiadomość i złych ludzi łakomstwo rozbudzić. Choć chorej żonie przebaczył pan Salomon chcąc wierzyć, iż niegodziwego czynu dopuściła się za namową, wciągnięta, przez słabość, nie odzyskała ona jego serca, przywiązania i już nabytego zaufania; dostrzegł w niej nieprzyjaciela, którego się potrzeba było obawiać, strzedz i walczyć z nim nieustannie. Namiętność wystygła, został żal, zgryzoty i namysły jak znośnem przynajmniej uczynić życie. W niedostatku rotmistrza zjawił się ze Smołochowa przystojny officjalista Będziewicz, który tu ciągłe miał interessa, przesiadywał po całych dniach i z panią konferował. Przyjeżdżały z powodu tej dzierżawy smołochowskiej, do jejmości i różne inne podejrzane figury, na jakieś narady.

Dobek obawiał się wszystkiego, miał przeczucie jakichś nieszczęść nowych. Sabina wprawdzie wszelkiemi sposoby starała się go udobruchać, ugłaskać i na nowo panowanie odzyskać, lecz się to tylko chwilowo udawało. Dobek jak skoro po miłych pieszczotach odzyskał panowanie nad sobą, stawał się niedowierzającym i dzikim. Nawet już (czego nigdy wprzód nie bywało) objawy czułości z pewnym czasem wstrętem i niechęcią odpychał.

Wypadek w skarbcu choć zapomniany na pozór dawał się czuć w skutkach; większa część winy spadła na Porębę, choć cząstka jej na jejmości pozostała. Odpokutowała ona ją ciężką chorobą, lecz Dobkowi snadź i to nie zdawało się dostatecznem. Życie z dnia na dzień było nieznośniejsze. Salomon zamykał się z Eljaszem na długie godziny w swem mieszkaniu, przychodził znowu powoływany Aron, interesa pochłaniały starego.

Z jejmością widywali się ceremonialnie u obiadów, wieczorami, a o niczem ważniejszem mowy nie było, bo Dobek mieszać się do niczego jejmości nie dopuszczał. Bolała go i bezskuteczność poszukiwań dziecięcia, o którego los coraz więcej się niepokoił, a błąd popełniony codzień mu więcej dolegał.

Jejmość też ze swej strony nie zasypiała. Bądź co bądź czuła, że nie powinna poprzestać na tem co zdobyła, bo zdobycz była omylna. Ani serca męża, ani rządu majątku i interesów, ani ogromnych skarbów nie miała w ręku; w dobry czy zły sposób potrzeba to było pochwycić.

Małżonkowie, jakby przeczuwali blizką wojnę, chodzili około siebie badając się wzajemnie. Pan Salomon czynny był znowu bardzo. Zawieszenie broni byłoby jednak potrwało jeszcze długo, gdyby nie szczególne okoliczności.

Gdy pan Salomon chował ciało ojcowskie w grobach, wypadły papiery z trumny, które on zabrał z sobą. Nie miał ich ani czasu, ani ochoty odczytywać; rzucił je więc na jednym z kufrów w skarbczyku, mając zamiar później przepatrzyć.

W czasie bytności swej z rotmistrzem w podziemiach, Dobkowa pochwyciła do kieszeni zwitki te w nadziei, że to są regestra, mogące jej do obliczenia pieniędzy mężowskich posłużyć. Zapomniała

o nich w chorobie i nierychło Rózia znalazłszy w kieszeni sukni, odniosła, ostrzegając, że może się one na co przydać mogą. Pani Dobkowa niedosyć wprawna w decyfrowanie takich notat, nie chcąc sobie pracy zadawać nad niemi, odniosła je, polecając wielką tajemnicę, księdzu kanonikowi Żaglowi.

W kilka tygodni potem, widząc się z nim zapytała o nie, i otrzymała odpowiedź, że w istocie papiery są ważne bardzo, lecz do pomówienia o nich czas jeszcze nie przyszedł.

Od niepamiętnych lat, mimo odosobnienia Borowiec, co rok, czasem raz we dwa lata, potajemnie i jak najmniej robiąc rozgłosu przybywało tu kilka osób, mianowanych familią i jakby do rodziny należących, które zatrzymywały się dni kilka we dworze, były przyjmowane skromnie bez występu, i odjeżdżały niewiadomo dokąd, jak niewiadomo też było, zkąd przyjechały.

W roku przeszłym zjazdu tego czy odwiedzin niebyło. Zazwyczaj, gdy ci panowie przyjeżdżali, Eljasz i drugi stary sługa sami tylko przypuszczani bywali do posługiwania im, odbywały się ciche jakieś narady, żadnych uroczystych biesiad ani przyjęć nie było. Szeptano więcej niż mówiono; przyjeżdżający mieli pozór cudzoziemców.

Wśród nieszczęść, jakie spadły na Borowce, Dobek musiał o tych zjazdach zapomnieć, gdy jednego dnia przyniósł mu kartę Eljasz, która go mocno zafrasowała.

Po odebraniu jej, poszedł pan Salomon na górę do żony.

– Moja jejmość, rzekł sucho: przybywają tu do mnie co lat kilka dla narady w interesach familijnych, krewni dalecy, babki i prababki: z okolic Gdańska i Pruss… Są to ludzie na pół obcy, do rozmowy nieskłonni, ja mam z nimi co do naradzenia się, lubimy być sami…

– A to sobie siedźcie sami! zawołała Dobkowa… kiedym ja waszego towarzysza nie godna…

Dobek nie zważał na kwaśną odpowiedź, jakby jej nie słyszał.

– Jejmość sobie na parę dni pojedziesz do Smołochowa – rzekł.

– A to co ma znaczyć? ofuknęła się Dobkowa. Coż to? ja nawet z daleka na ichmościów patrzeć nie jestem godna, a jegomość się wstydzisz żony?

– Moja jejmość, odparł Salomon: tu nie o to idzie; u mnie taki zwyczaj był, jest i będzie, że się naówczas kobiety nie pokazują… Jedź najlepiej do Smołochowa; wszak oprócz tego lubisz się radzić tego gołowąsa Będziewicza..

– A to znowu coś innego? już ci Będziewicz szkodzi?

– Ani on mi śmierdzi, ani pachnie, zimno odezwał się Dobek; ale go nie lubię… Z tem jednak mniejsza; trzeba, żebyś jejmość pojechała.

– Ja się ani ruszę! zawołała Dobkowa. Po co? czego? nie pokąsam was! A! to mi piękna rzecz żonę z domu wypędzać!

– Nie wypędzam, lecz jeśli jejmość się uprzesz zostać, będziesz musiała się zamknąć i nie wychodzić.

– Cóż to ja niewolnica jestem czy sługa?

– To obyczaj domowy, do którego się trzeba zastosować.

Sabina się rozśmiała.

– Co mi tam do waszych obyczajów! poczęła jejmość, żywo chodząc po pokoju… Ślicznąbym żoną była i gospodynią, gdybym się dla gości dała z domu wypędzić! Nie pojadę do Smołochowa… a gdy przybędą, zrobię co mi należy…

– Zamkniesz się waćpani w swoich pokojach…

Dobkowa zaczęła się śmiać, a na twarz starego wystąpiła czerwoność, zsiniał potem niemal z gniewu, drzwiami za sobą rzucił i wyszedł.

Nazajutrz z okien swoich zobaczyła Sabina przybywającą brykę, z której wysiadło trzech mężczyzn z cudzoziemska ubranych. Ci weszli na dół do pana Dobka i drzwi się za nimi zamknęły. Na obiad ani gospodarz, ani oni nie stawili się, kazano go znieść na dół; wieczorem toż samo. Zanocowali w pokoju przy mieszkaniu gospodarza. Drugiego dnia toż samo było; powtórzyło się to i ostatniego, poczem czarno ubrani panowie odjechali jak przybyli.

Niezmiernie ciekawa tych ludzi i co oni tu robić mogli, podglądywać się starała i podsłuchywać jejmość, lecz nic a nic nie doszła. Chodząc po zamku i do koła komnat męża, w pewnych godzinach dosłyszała jakby szmer modlitw lub cichy śpiew dochodzący ją od tego mieszkania, lecz nie mogła dobrze rozpoznać co to było.

Przez całą tę trzydniówkę nie mogła też się ani razu widzieć z mężem, choć po kilkakroć do niego posyłała. Gniew jej doszedł do wysokiego stopnia… Po wyjeździe tych tajemniczych gości, gdy Dobek przyszedł blady przywitać się z nią, prawie doń mówić nie chciała…

– Gdybym była mogła przewidzieć co mnie tu czeka, rzekła – i to utrapione życie pustelnicze, na jakie jestem skazana, bądź waćpan pewien, że wolałabym była pozostać na dzierżawie w Smołochowie.

– I toby bodaj było najlepiej! mruknął Dobek.

– Ale cóż to za życie! co to za życie! poczęła wołać, to nie do zniesienia.

– Mogłaś się, moja jejmość, z góry na nie przygotować, bom sobie wyraźnie zastrzegł, że obyczajów moich zmienić nie myślę – odparł Dobek. To darmo!

Z tej i następnych rozmów przekonała się Sabina, że wiele władzy straciła… i że myśleć o jej odzyskaniu teraz nie było można. Zajęła więc mężnie stanowisko nieprzyjazne. Dwór jej ode dworu mężowskiego, jak zawsze się dzielił, tak teraz też począł występować z otwartą niechęcią. Ażeby się obronić od nieprzyjemności, potrzeba go było zwiększać. Będziewicz nieustannie na narady był wzywany. Przyjęła jejmość służącego osobnego dla siebie z ręki Będziewiczazarekomendowanego. Był to młody szlachcic, nie osobliwszej powierzchowności, blady, ospowaty, nie patrzący nikomu prosto w oczy, chodzący pod murami i chowający się po kątach, ale niezmiernie przebiegły, chłodny, wytrzymały i domyślny. On się przynajmniej za szlachcica miał i kazał się tak zwać, chociaż nazwisko nie obiecywało nic – nazywał się bowiem Przepiórka. Dworscy miejscowi w kilka dni po zainstallowaniu się jego we dworze, nazywali go – Psiepiórko.

Jak służył pani, niewiadomo, lecz że umiał się znaleźć z ludźmi, to pewna. Nie zważał na nieprzyjemności, kłótni unikał, milczał, patrzał, słuchał, podglądał, po trosze głuptaska udawał… a w tydzień może tak znał wszystkich obyczaje, godziny i całą miejscowość w Borowcach, jakby tam był od dzieciństwa. Udało mu się nawet potajemnie pozawiązywać stosunki na folwarku, między służbą, i mimo okazywanych niechęci zupełnie był swobodny.

Przepiórka głównie się temu snadź poświęcił, ażeby przez skaptowanie sobie jednego z pańskich faworytów, uczynić wyłom w ściśniętej dotąd falandze. Zdawał się najprzód wypatrywać kogoby sobie miał obrać, potem rozpoczął oblężenie formalne około niejakiego Walentego zwanego Walem, starego człowieka, rowieśnika Eliasza, który skutkiem starości trochę był zdzieciniał. Miał on niegdy zaufanie pańskie i zajmował na przemiany z Eljaszem miejsce przy jegomości lecz podupadłszy na umyśle i na siłach, pozostał teraz bez zajęcia, po całych dniach odczytywał Biblię i odgadywał Apokalipsę. Ten popęd ku ascetyzmowi zwrócił nań oczy ks. kanonika, który usiłował korzystać, dla nawrócenia go, z tego usposobienia. Chociaż Wal bowiem liczył się za katolika, jak inni we dworze, był nim tylko z imienia. Ks. kanonik zwabił go na rozprawy o Apokalipsie, a powoli znalazłszy umysł chciwy pociechy duchownej, pracować nad nim zaczął. Przepiórka pomagał ku temu i działał też w sprawie nawrócenia. Wal niepostrzeżenie dla innych, znikł prawie ze dworu, na co nikt jeszcze nie zwracał uwagi, a począł kręcić się coraz więcej około plebanii.

Jednego dnia ks. kanonik przez Przepiórkę dał znać jejmości, iż ma z nią do pomówienia. Dobkowa po obiedzie poszła na probostwo. Zastała kanonika jakby przygotowującego się do jakiegoś ważnego kroku. Poprosił ją uroczyście do pokoju dalszego, i polecił, ażeby nikogo nie wpuszczano.

Tu, gdy pani Dobkowa usiadła, ksiądz poszedł po papiery do szafy, przyniósł je, położył na stole, a sam namyśliwszy się tak mówić począł:

– Najprzód waćpani dobrodziejce objawiam to, że rozmowa nasza ma być rodzajem spowiedzi, o której ani ja nikomu, ani też pani mówić nie powinnaś. Tycze się ona zbyt ważnych przedmiotów,

interesów kościoła, kraju i moralności publicznej. Zdradzić to, co się tu mówić będzie, byłoby śmiertelnym grzechem…

Sabina trochę się zlękła.

– Niech ksiądz kanonik będzie spokojny – rzekła – ja pewnie nie wydam.

– Muszę tedy asińdźce tę smutną zwiastować nowinę, że się tu na dom, do którego asińdźka weszłaś, srogie gotują burze. Od tej roli, jaką odegrać w nich zechcesz, zależy albo bardzo świetny rezultat dla pani, lub srogie próby… Jesteśmy na tropie popełnionegotu przed wielu laty kryminału… i drugiego podobnego przed niedawnym czasem… Odpowiedzialność za nie spada na pana Dobka, który o nich wiedział, skrywał, a do jednego z nich sam się przykładał. Oprócz tego cięży na domu gorszy zarzut zdrady i kacerstwa…

– Ale cóż ja, nieszczęśliwa!… poczęła Dobkowa.

– Ani pani, ani ja się do tego nie mieszam… zaskarżenia poszły z innego źródła do sądu. Ja waćpani dobrodziejce po przyjacielsku o tem oznajmuję, ażebyś wiedziała co czynić, jak sobie postąpić. Dobkowie są pod strasznemi zarzutami; naznaczona komissja sekretna zjedzie lada chwila… umyjże ręce, moja dobrodziejko, od tych brudów, nie mieszaj się – a co wiesz, to szczerze wyznaj.

Przestrzegam z dobrego serca – a we dworze o tem ani wiedzieć, ani się domyślać nie powinni.

Dobkowa przelękła – zaczęła drżeć.

– Ale cóż to mój ojcze? jak się to odkryło?

– Opatrzność Boża, która nie daje zbrodni bezkarnie ujść nigdy, wybrała za narzędzie starca, który o wszystkiem wiedząc, tając do tego czasu, ruszony sumieniem, poszedł to podać sądowi, pod przysięgą dobrowolną.

– Cóż takiego? co? na Boga! podnosząc się z siedzenia odezwała się wylękła Dobkowa.

– Są to po trosze stare dzieje… ale się z nowemi wiążą – mówił ksiądz. Ojciec pana Salomona ożenił się jak oni wszyscy po za krajem, z kobietą swojej wiary, heretyczką.

– Alboż nie są katolikami?

– Tylko pozornie – mówił kanonik. Kobietę snadź wziął mimo jej woli – nie kochającą go; przybył tuz nią a potajemnie pono i pierwszy amant za nią podążył. Niewiadomo jeszcze czyli dowody zdrady jakie miał mąż, lecz człowiek go własny wydał, że żonę, a bodaj i gacha – zamordował.

Dobkowa krzyknęła:

– Jakto zamordował?

– Tak jest – mówił kanonik dalej. Sługa go wydał i miano pochwycić winowajcę, gdy – znikł nagle. Zamalowano sprawę pieniędzmi, podano go za umarłego…

Zduszono wszystko… Tymczasem okazuje się; że syn Salomon ojca tego, mężobójcę, trzymał w lochu zamkniętym lat kilkadziesiąt…

– Salomon! powtórzyła Dobkowa – mój mąż?

– Tak jest… stary niedawno czy zmarł, czy niewiadomo jaką śmiercią skończył, a nie pogrzebione jego ciało złożono w grobach.

Zakryła sobie oczy pani Dobkowa, przypominając ów loszek, który widziała po nocy, i ślad na podłodze, jakby nim coś świeżo do grobów wciągano.

– Oprócz tego – dodał ks. Żagiel – są inne okropniejsze zarzuty. Pod pozorem katolicyzmu kryła się tu od wieków herezya przeciwko Trójcy Św., szkaradny brud aryanizmu, którego zwolennicy sekretni co rok się tu na radę zjeżdzali… mieli tu swe skarby, swe sejmy i obrzydłe obrzędy w kapliczce jakiejś pod ziemią odbywali.

Sąd świecki i duchowny już ma wskazówki dostateczne do poszukiwania występków i ukarania ohydnego kacerstwa.

Wytrwała na wszystko i nieulękła pani Dobkowa, słysząc jednak tak groźne zarzuty i oznajmienie o tem co się na męża jej gotowało, przeraziła się straszliwie… Zakryła oczy… na płacz

się jej zbierało. Nie szło jej ani o dom, ani o męża, lecz o te skarby, których ogrom nie wychodził z jej pamięci; przewidywała że jako arjanom wszelka majętność Dobkom odjęta zostanie.

– Mój ojcze! zawołała: a cóż się stanie zemną?

– W żadnym razie jejmość ucierpieć nie możesz, owszem swą schedę i poszkodowanie z fortuny ogólnej musisz mieć wydzielone; lecz – moja dobrodziejko, zakończył ksiądz Żagiel: musisz z kacerstwem tem piekielnem zrzec się wszelkiego stosunku.

– Ja o tem nie wiedziałam! jam żadnego nie miała! okrzyknęła, ręce składając, Dobkowa.

– Ostrzegam też waćpanią, abyś się na baczności miała, gdyż lada chwila przyjdzie do porachunku kilkasetletniego z tą rodziną. Utajony arjanizm wiadomo co ciągnie za sobą…

Ja się w to mieszać nie chcę i nie będę, dodał z westchnieniem ksiądz Żagiel. Siedziałem na ich ziemi długo, nienajlepiej mi było, alem krzywdy nie miał, życzyłem… przecież pomsta Boża przychodzi… czas było!

– Mój ojcze! zawołała Dobkowa składając ręce: weźże mnie obcą i niewinną w opiekę swoją… Za cóżbym ja pokutować miała?.. Wszak ci to ich majętności na skarb pójdą?

– Takby powinno być!

– A skarby i kapitały?

– Myślę, że także…

– I uratowaćby nie można? ogniście odezwała się pani Dobkowa… Przecież mnie się coś z tego należeć powinno.

– Nic nie wiem, i to są rzeczy mi obce, rzekł ksiądz Żagiel. Jejmościbym dla jej spokoju życzył wcześnie się może do Smołochowa cofnąć i tam burzę przesiedzieć…

– A tu wszystko na skarb zabiorą! lamentując krzyknęła jejmość. Nie, ja tu muszę być, aby choć w części ratować…

Ksiądz kanonik milczał.

– Po heretykach, którzy kościołowi szkodliwymi byli, toby się spadek nie komu, tylko jemu należał… rzekł ciszej; ale teraz tam te prawa poprzerabiano! Siedźże jejmość cicho… dodał: zjedzie komissya, mów prawdę, trzeba, aby ona wyszła na jaw… aby się stała sprawiedliwość, a winni ukarani byli.

Po naradzie przerywanej westchnieniami i wykrzykami, która jeszcze czas jakiś trwała, pani Dobkowa powróciła ostrożnie do domu, mocno zatrwożona o siebie. Przechodząc około mieszkania mężowskiego, dostrzegła, iż tam z wielkim pośpiechem wpadł Aron najprzód, potem zaraz Eliasza zawołano i drzwi się zatrzasnęły. Narada trwała ze dwie godziny, poczem Aron odszedł do domu i późno w noc raz jeszcze zawrócił… Dobek od wieczerzy się wymówił.

Na dole ruch jakiś był niezwyczajny, i pani Dobkowa domyślała się, że tam już coś o niebezpieczeństwie wiedzieć muszą.

Następny dzień zszedł jednak cały spokojnie, Wal tylko zniknął był i o to mocno się kłopotano, domyślając się, iż mógł z jakiemiś doniesieniami… udać się do sądu. Dobek przy obiedzie zaczął mówić otwarcie.

– Choćby się człowiek najlepiej z ludźmi obchodził, odezwał się, choćby ich dobrodziejstwy osypywał, zawsze sobie nieprzyjaciół zrobić musi. Tego nie można uniknąć.

Jejmość słuchała, milczała i udawała obojętną…

Dzień zbiegł tak do wieczoru bez żadnego wypadku; w nocy już do drzwi jejmości zapukał Przepiórka i oznajmił, iż komissya do miasteczka zjechała i główną kwaterę zajęła na probostwie. We dworze tak było cicho i spokojnie, jakby się wcale ni czego nie domyślano i nieobawiano.

Z północy, gdy wszystko zdawało się uśpione, urząd z małą siłą zbrojną, którą był otoczony, zszedł z probostwa ku dworowi. Pan Dobek nocował na dole, a przy nim Eljasz… Zastukano do drzwi lecz musiano długo kołatać nim otwarte zostały…

Ponieważ sprawa miała się wytoczyć z regestru aryanizmu, szczególne środki ostre dla dobadania się prawdy przedsięwzięte zostały, a mianowicie: opieczętowanie całego domu, skarbca,

lochów, kryjówek i wszelkiego domostwa, w którem dowody herezyi potajemnej, schadzek i t. p. znaleźć się mogły. Gdy urzędnicy ukazali się u wnijścia, pan Dobek przyjmujący ich wcale się nie zdawał zmieszanym. Objawiono mu akt oskarżenia i winy, jakie przypisywano; ruszył ramionami tylko i wskazał ręką, aby spełniano co prawo rozporządzało. Urzędnicy mieli widać dokładną informację o miejscowości, gdyż komissarz pan Żółtuchowski zażądał najprzód klucza od lochów, zalecając gospodarzowi, aby szedł z nimi razem. Eliasz też stary został pod straż wzięty i u pierwszych drzwi pachołków postawiono.

Nie stawiając najmniejszego oporu, Dobek, gdy mu drzwi żelazne wskazano, dał klucz od nich, sam pan Żółtuchowski otworzył zamki, i wszyscy wiodąc ze sobą gospodarza weszli… Jak wiemy, za drugiemi drzwiami był skarbczyk… Znaleziono go wedle wskazówek, jakie miano, w stanie, w jakim był być powinien. Kufry stały na swoich miejscach, kartek tylko na nich z liczbami nie było… Pan Żółtuchowski zapytał o klucze, które Dobek wskazał pod misternie odwracającym się w ścianie kamieniem. Ponieważ nimby przyłożono pieczęcie, należało sprawdzić co się w kufrach znajduje, otwarto zaraz pierwszy…

Na dnie jego była kupka bibuły i trochę sznurków – więcej nic. Poszedł zatem pan komisarz do drugiego, w którym nie znalazł nic oprócz śladów myszy, w trzecim było trochę pleśni, w czwartym na dnie piasek i t. d.

Ogarnęło wszystkich zdumienie wielkie, gdyż opieczętowywać nie było czego…

Następnie szli drzwiami wiodącemi do dawnego mieszkania pokutnika. Tu zmieniła się zupełnie fizjonomia lochu: nie było najmniejszych śladów pobytu niedawnego gościa, loszek stał pusty… i trocha w nim w piasku butelek. Stary kominek, który miał służyć do oblewania smołą korków przy ściąganiu win, od dawna pono był zamurowany. W szafkach nie znaleziono nic, oprócz resztek owoców, które tu snadź na zimę składane były…

Komissarze domagali się otwarcia grobów, aby je z wewnątrz mogli opieczętować… i mimo wrażenia, jakie te nocne odwiedziny na nich czyniły, weszli w milczeniu. Tu, widok monumentów, trumien, szczątków ludzkich, powietrze przejęte wonią śmiertelną… marmurowe w świetle lamp połyskujące grobowce… napełniły nawet najśmielszych grozą śmierci. Wszystko tu było w porządku i jak najstaranniej utrzymywane… Na trumnie matki pana Salomona, wyrwany kawał aksamitu snadź pobożna ręka nazad przylepiła, gdyż uszkodzenia tego znać nie było. Trumny też starego Adama, ze źle przymkniętem wiekiem, której pono oczyma szukano, nie dostrzeżono.

Tu stanąwszy pan Żółtuchowski, który z widocznym wstrętem przystępował do *scrutinium*, kazał u drzwi wychodowych (tych któremi Eljasz tu wprowadzał Laurę) położyć pierwsze pieczęci… Szukał potem w papierach długo, czytał, i obróciwszy się do pana Dobka, zapytał go, kędyby był wchód do kaplicy… Na co dosyć osłabłym głosem stary odrzekł: iż o żadnym nie wiedział, ani też o kaplicy.

– Być bardzo może, dodał, iż za dawnych czasów w obszernych podziemiach istniała gdzie jaka grobowa kaplica, ale ta zapewne albo zniszczona być mogła, albo stawszy się nieużyteczną, zamurowana została.

– Ja się pytam o miejsce zboru, które jeszcze i w tym roku współwyznawcom pańskim, arjanom z Rutowa i Andreaswaldu tu przybyłym do narad i ich świętokradzkich nabożeństw służyły? rzekł Żółtuchowski.

– O żadnych arjanach z Rutowa… i w ogóle o z dawna wygasłym u nas arjanizmie ja nic nie wiem, odparł Dobek obojętnie.

W lochach nie było najmniejszego śladu, żadnego wyjścia… Przy ścianach stały grobowce i trumny… Obszedłszy nie bez trwogi te katakumby, komissja powróciła, wszystkie ich drzwi pieczętując za sobą. Toż samo dopełniono i przy skarbcu, i na mieszkaniu pana Dobka, którego, kazawszy mu się ubrać i dozwoliwszy z sobą wziąść co do jego osobistego użytku służyć mogło, – zabrali panowie komissarze dla dalszego oglądania zamku… Z kolei pokoje Laury dotąd nietknięte,

parlatorjum, wszystkie izby i komory opieczętowano. Naostatek przybyli do dawnego mieszkania córki, dziś zajmowanego przez macochę.

Ta od dawna już przebudzona i jako tako przyodziana, w chwili, gdy się pan Żółtuchowski ukazał w progu, rzuciła się ku niemu z płaczem, padając przed nim na kolana, załamując ręce i wywracając piękne oczy czarne.

– Panie komissarzu!… wołała – błagam cię, nie mieszaj sprawy mojej, nieszczęśliwej, uwiedzionej, nieświadomej niczego kobiety z tymi ludźmi, którzy się tu jakichś ohydnych praktyk dopuszczali. Ja o niczem nie wiem… mnie ten starzec wciągnął w swe sieci… zrujnował… ja z heretykiem tym nic nie chcę mieć wspólnego… Żądam tylko słusznego udziału w majątku… który mi się należy…

– Niech się jejmość dobrodziejka uspokoi, rzekł Żółtuchowski, który był człek wystały i poważny: nic tu się strasznego stać nie może…

– Ja tylko sekwestr kładę w imię moich praw do gotowizny zawołała pani Dobkowa.

– Z żadnąśmy się jeszcze tu nie spotkali, rzekł komisarz…

– A na dole skarbiec?…

– Kufry są, mościa dobrodziejko, ale puste…

– Puste? puste? łamiąc ręce krzyknęła jejmość; ale to nie może być!

Później się to wszystko wyklaruje! rzekł komisarz… A że jejmość o nic obwinioną nie jesteś i pewnie żadnych dowodów winy tu nie ukrywasz… zatem i mieszkania jej obsigillowywać niebędziemy mieli potrzeby…

Na tem się odwiedziny skończyły. W parlatorjum po szafach zabrano i opieczętowano znaczną ilość ksiąg arjańskich, całą bibliotekę Fratrum Polonorum i wielu pisarzy XVI i XVII wieku.

Pan Dobek utrzymywał, że to są pamiątki po pradziadach, które tylko jako drogocenne zabytki przechowywano.

Nim się pracowite obchodzenie domu całego skończyło, już się niemal na dzień zbierało; wszyscy byli pomęczeni, lecz w tym domu ani pić, ani jeść nic nie chcieli. Postawiono straż, i biorąc z sobą Dobka, komissja udała się na probostwo najprzód, gdzie też miejsca dla wszystkich szczupło było, więc pan Żółtuchowski, zostawując pisarza i kancelistę, sam ze swym więźniem udał się do najporządniejszego domu w miasteczku, należącego do Arona. Tu sam zająwszy jedną izbę, drugą ostawić kazał strażą, i w niej pana Dobka umieścił. Na dworze szarzeć zaczynało, wszyscy byli pomordowani i znużeni nad wyraz, Dobek też prosił, by mógł spocząć, na co mu pozwolono… Komissarz nawet był do tego stopnia dlań powolny, chociaż dla kacerza, iż mu pachołków w izbie nie postawił, tylko pod oknem i drzwiami.

Alkierzyk, w którym dziedzic miasteczka nigdy się pono nocy spędzać nie spodziewał, jak w wielu domach żydowskich, tarcicami był na pół przeforsztowany, – ścianka ta przedzielająca pierwszą połowę izby od drugiej przez familię gospodarza zajmowanej, nie dochodziła do samego pułapu.

Przy niej to właśnie na sianem i kilimkiem ladajakim pokrytym tarczanie położył się Dobek, stękając, gdyż cała ta nocna scena sił go pozbawiła… Okiennica od podwórza była zamknięta i wycięty w niej tylko otwór nakształt serca przepuszczał słabe ranne z podwórza światełko…. Stary położywszy się, z oczyma otwartemi czuwał a myślał, nie zdając się zbyt przerażonym tem, co go spotkało…

W sąsiedniej izbie pan Żółtuchowski głośno odmawiał pacierze i bił się zapalczywie w piersi, potem obalił się całym ciężarem na łóżko, westchnął, i jako człek prawy, w kwadrans począł chrapać…

Chrapanie pana Żółtuchowskiego nie w jednym powiecie, ale w całej tej ziemi sławne było.

Często psy w sieniach śpiące posłyszawszy je najprzód szczekać, a na ostatek wyć zaczynały. W chrapaniu tem była cała orkiestra różnych instrumentów: gardło, krtań, nos, grały każde swoją partję z dziwną rozmaitością intonacyi. Odzywało się w niem świstanie, gruchanie, burczenie, kwiczenie, klaskanie, a kończył każdy taki frazes muzykalny okrutny zgrzyt zębów, jakby kto szkło piłował.

Spać w jednym pokoju z Żółtuchowskim było szczerem niepodobieństwem, w sąsiednim męczarnią, a nawet w jednym domu z nim, zadaniem problematycznem.

Gdy się ten koncert rozpoczął, można było też śmiało bodaj głośną bawić rozmową, nie lękając podsłuchania.

Grzmoty rozlegały się, gdy po nad przeforsztowaniem z tarcic, tuż prawie u głowy pana Dobka w górze ukazała się znana mu twarz z brodą poczciwego Arona Lewiego. Stary przechylił się o ile mógł, zbliżając do więźnia. Mogli z sobą wyśmienicie rozmawiać, nie lękając się, by ich pachołcy podsłuchali. Miał też tę ostrożność Aron, że znużonym ludziom obficie dał wódki, i oba oni oparłszy się plecami jeden o ścianę pod oknem, drugi o drzwi, posnęli.

– Mów jegomość, co robić? do kogo posyłać? co chować? zawołał Aron. Mów jegomość prędko, póki te zbóje śpią i nie słyszą.

– Nic, nic, mój Aronie, poszlej do Konopnicy, daj znać tamtym…

– A co znaleźli? spytał ciszej Aron.

– Cóż oni mogli znaleźć? uśmiechnął się stary.

– A..? Tu nie śmiejąc wyrzec o co mu chodziło, Aron wydobył ręce i w dłoni pokazał, jakby liczył.

Dobek pokiwał głową przecząco – i uśmiechnął się smutnie.

– Nic? powtórzył.

Więzień powtórnie dał ten sam znak.

– Czy mam gadać z komissarzem? mówił dalej stary, wskazując znowu na dłoń i licząc niby…

– Dać pokój! na co? to się ułatwi inaczej, nie znajdą nic.

– A to co Wal pogadał?

– Wal cierpi od dawna… Dobek wskazał czoło…

– A papiery te jakieś?…

– Nie wiem o żadnych… dodał więzień; nie trzeba się bardzo starać… aż do ostatka zobaczymy jak pójdzie sprawa.

– A jejmość? co jejmość?

Stary Dobek namarszczył się.

– Za grzech mój kara przyjść musiała. Za dziecko moje Pan Bóg mnie dotknął sprawiedliwie, i cierpieć powinienem… bom zasłużył.

Gdzie ono teraz to biedactwo błąkające się może bez przytułku? dodał po cichu… i łza puściła mu się z pod powiek…

Żyd usłyszawszy szelest jakiś nagle za przeforsztowaniem zniknął.

Chrapanie pana Żółtuchowskiego przeciągało się tak skutecznie do dnia, iż Dobek zaczął dopiero usypiać, gdy woźny pana komissarza przebudził.

Zanosiło się na nadzwyczaj zawikłane scrutiniumw miejscu, poczem sprawa dopiero sądom przekazana być miała. Obwinienie o potajemny arjanizm, zatem o świętokradztwo, stanowiło główną istotę procesu, do której łączyła się nieco zawikłana historja Adama, *de noviter repertis*, i jego pośmiertnego życia w areszcie u syna…

Tu wszystko oparte było na papierach starca, który w samotności swej zapisywał na kartach luźnych przypomnienia własne, dawniejsze przygody, wrażenia i myśli. Z notat pochwyconych przez panią Dobkową, a wręczonych ks. kanonikowi okazywało się, iż stary żył w lochu zamknięty aż do wiosny przeszłej… Gdzie się później podział… kiedy zmarł, kto go pochował i gdzie? dojść było potrzeba.

Sprawa już przed laty *per non sunt* puszczona z powodu prawdopodobnej śmierci obwinionego, odżywała znowu razem z infamią i wszelkiemi następstwami…

Dowody arjanizmu były w głuchych zaskarżeniach i powieściach, w zeznaniach starego Wala – a mniej dobitne w znalezionych księgach. Wal, który sam zeznawał, że do arjan należał i z nimi do niedawnego jeszcze czasu trzymał, wskazywał całą rodzinę jako w herezji pogrążoną, mówił o

zjazdach z Pruss i Niderlandów przybywających kacerzy, odbywanych w podziemiach zamkowych, o kaplicy arjańskiej, sali, zborze i archiwach. Opowiadał on, iż wnijścia oznaczyć dokładnie nie mógł, gdyż zwykle po nocy korytarzami ich tam wpuszczano; lecz twierdził, że kaplica i zbór do grobów przytykać gdzieś musiały.

Komissarz Żółtuchowski udał się tam razem z nim po dniu białym, obeszli podziemie, szukano, usuwano grobowce, kopano, świdrowano w ścianach i nigdzie żadnego śladu znaleźć się nie udało. Groźbami zmuszany stary Eliasz… milczał jak kamień, i wprost dawnego towarzysza obrzucał tem, że mu się w głowie pomieszało.

Ponieważ najpilniej szło o ten *corpus delicti*, o wyszukanie owej kaplicy i archiwum, starego Wala postawiono tegoż dnia przed panem Dobkiem, by wyznanie swe powtórzył.

Wprowadzony do izby pana komissarza Wal, w progu już drżeć zaczął, zobaczywszy swego dawnego pana, który w powszednich chwilach był niepozornym człowieczkiem skurczonym, twarzy bez wyrazu, a teraz wydawał się jakby odmłodzony i nową siłą natchniony. W istocie Dobka w nim owego poznać było trudno, tak urósł w nieszczęściu. Wal spojrzał nań i sumienie mu się poruszyło, stanął w progu z załamanemi rękami.

– Mówże, mów, podżegł pan Żółtuchowski!..

Wal głowę ku ziemi spuścił, oczy w posadzkę wlepił – milczał posępny. Dobek widząc, iż stary odwagi nie ma, odezwał się:

– Kończże jakeś rozpoczął, mów… Jadłeś chleb mój od kolebki do starości, a nigdy ci go nie zabrakło; dzieliłem z tobą nietylko chleb ten, lecz i serce moje – byłem ci ojcem i bratem. Chciałeś mi za to wywdzięczyć się jako Judasz Chrystusowi Panu; dla czegożbym ja skarżyć się na mój los miał, i żądać, abym lepszym był od Zbawiciela? Mów, mój Walenty, mów co ci sumienie podyktuje, obwiniaj, dowódź, prowadź może pod pręgierz, czy na stos, ja ci wzorem mistrza naszego za winę nie poczytam słabości twej, ani zdrady twej, jeśli w sumieniu czułeś się obowiązanym to uczynić. Mów a obwiniaj…

Stary padł na kolana, rozszlochał się.

– Ja nic nie wiem! mnie się w głowie pomieszało… Plotłem… winienem…

Komisarz się obruszył – i obracając do Dobka, prosił go, by się więcej nie odzywał. Dobek więc zamilkł i siadł. Z Wala wszakże nic wydobyć nie potrafili.

Ta nagła zmiana pomieszała szyki. Przepiórka, który miał czas na miejscu rzeczy wybadać, a z Walem nieraz o tem mówił, jął przed urzędem dowodzić, iż lochy pod starym zamkiem są nadzwyczajnej rozległości, że należy je wskroś przejść z końca w koniec szukając wnijść; dowodził też, że tajemnicze drzwi mogły być zamurowane… gdyż, wedle wszelkiego podobieństwa, przed przybyciem urzędu pan Dobek wiedzieć musiał co mu grozi i do tego się przygotował…

Przepiórka mówił, że ostatniej i przedostatniej nocy w zamku był ruch i krzątanina niezwyczajna.

Wszystko to jednak nie starczyło, dopókiby się owa skryta kaplica nie znalazła.

Scrutinium toczyło się tak dalej, obiecując długo się przeciągnąć.

II

Położenie pani Dobkowej po uwięzieniu jej męża, gdy się spodziewała, że chwilowo tu zapanuje i obejmie rządy, stało się w istocie nieznośniejszem niż było. Z wyjątkiem probostwa nieprzyjaznego dworowi, co żyło po wsiach, w miasteczku, na zamku, przywiązane było do starych panów; przypisywano wszystkich tych nieszczęść przyczynę macosze, która się tu wkręciła, niosąc za sobą niepokój, intrygi i cały szereg utrapień. Znienawidzona przez wszystkich, odstąpiona – znalazła się pani Dobkowa jawnymi otoczona nieprzyjaciółmi i zniewolona posługiwać własnemi ludźmi ze Smołochowa, bo jej nikt słuchać nie chciał i nic jej wydawać. Przyszło do tego drugiego dnia, iż trzeba było posyłać po żywność, a nieprzyjazne i chmurne spotykając twarze, obawiać się jakiej napaści nawet i zemsty. Jawne wystąpienie Przepiórki w sprawie przeciwko panu, nie dozwalało jemu już na krok odejść od pachołków, bo mu się kijami odgrażano.

Sam pan Żółtuchowski postrzegł wkrótce, iż ogólne usposobienie ludności na żadną z jej strony pomoc rachować nie dozwala. Zamiast mu posiłkować, służyło co żyło obwinionemu. Jako człek rozumny, komisarz poszedł się o tem we cztery oczy rozmówić z Aronem.

Starego Żyda powszechnie szanowano, trochę dla jego rozumu, wiele dla jego pieniędzy.

– Jakże to będzie, mospanie kupiec? zapytał Żółtuchowski. Wszyscyście tu widzę spiknęli się trzymać z dziedzicem i bronić go…

– A czemuby tak nie miało być? spytał Aron – a jak ma być inaczej? My znamy tych naszych panów od lat bardzo wielu… my ich kochamy, myśmy im wdzięczni… to są ludzie poczciwi! Że kilku łajdaków, z pozwoleniem jaśnie wielmożnego pana, związało się przeciw nim, aby ich zgubić – co za dziw? Czy pan, pan taki rozumny… pan co słycha jak trawa rośnie… nie widzisz kto tu tego wszystkiego przyczyną i instrumentem?…

Aron spojrzał mu w oczy, komisarz się frasobliwie uśmiechał.

– Pan ją widziałeś wczoraj? westchnął Izraelita. Ta kobieta przyniosła nam tu nieszczęście… Od niej nasza śliczna panienka musiała uciec… od niej kto tylko mógł uciekałby… Jej to ludzie świadczą, z niej wszystko.

Pokiwał głową Aron.

– Ale w tem wszystkiem jest jednak prawda. Są dowody… czarno na białem – rzekł Żółtuchowski.

– Albo to tego czarnego na białem nie można wymyślić tak samo jak innych rzeczy! Jaśnie panie dodał – izraelita – kiedy tysiąc ludzi płacze po kim, a dwóch się śmieje, niech pan będzie pewien, iż ci dwaj łotry są.

Komisarz odszedł zamyślony… Wszelako musiano dalej owe lochy prześledzać i kaplicy szukać…

Wal wezwany na przewodnika, złożył się od starości zabałamuconą głową i iść nie chciał. Zagrożono mu – zawołał, że go rozsiekać mogą, ale nie pójdzie.

Tępo jakoś sprawa się posuwała, a raczej cofała niż rozwijała. Nie miała jednak powodu komissja, której dostarczano wszystkiego obficie, zbytecznie spieszyć do końca. Grzebano się powoli prawie tylko, aby coś robić pozornie, w istocie niewiele lub nic nie czyniąc.

Dobkowa na zamku chodziła jak opętana po swych izbach, nie wiedząc co począć? Widywała się codzień, zapraszając do siebie Żółtuchowskiego i usiłując go wdziękami akceptować; lecz pan komisarz człek był stateczny, dla kobiet z respektem, a do obałamucenia jakoś trudny. Wymagało to czasu, bo się nie zaraz rozgrzewał.

Nie znajdując rady u niego jéjmość szła do kanonika na probostwo. Ks. Żagiel był milczący. Dawał jej tylko jedną radę, iż mogłaby z więzów małżeńskich się uwolnić tem, iż ślubując małżonkowi, katolikiem go sądziła, więc odkrywszy herezję, ma prawo prosić o skruszenie podstępnie zawartego związku.

Panią Sabinę skłaniało ku rozwodowi szczególniej to, iż kufry okazały się pustemi, a Borowce mogły być skonfiskowane; z drugiej jednak strony obawiała się oszukać, gdyby Dobek od obwinień się oczyścił, a pieniądze (o czem mówiono) ukrył tylko. W niepewności wielkiej, postanowiła czekać końca procesu. Nie upominała się wcale o widzenie się z mężem, ani też on się dopraszał, żeby się z nią mógł zobaczyć.

Na wypadek oczyszczenia nie frasowała się o pojednanie i wytłómaczenie, była bowiem pewna, że Dobkowi oczy zapruszy czem zechce i pociągnie ku sobie… Gdy wieść o sprawie arjańskiej rozeszła się wprędcepo kraju, bo regestr ten już prawie był zapomniany, więc wiele o Dobku mówiono – bardzo fortunnym trafem dobiegła ona do uszu rotmistrza Poręby, wygnanego z Borowiec za owo wtargnięcie się do skarbca. Rotmistrz, któremu ex-kuzynka pomagała, posiłkując mu małemi przesyłkami, pomimo to był w dosyć przykrem położeniu i tęsknił do szczęśliwych dni w Borowcach – dowiedziawszy się więc, iż Dobek został inkarcerowany, że się tam scrutinium nań o kryminały toczy, a jejmość osamotniona bez opieki, oprócz Będziewicza nie ma nikogo, kazał konie zaprzęgać i śpiesznie w pomoc jej podążył.

Właśnie gdy największe ogarniało ją strapienie, Poręba się zjawił. Chciał wprost zajechać do dworu, ale tu pozostawiony ekonom i człowiek do zarządu, odmówili przyjęcia. Zmuszony więc został umieścić się w gospodzie, a osobą swą stawił się zaraz u Sabiny.

Czułe było powitanie… Jejmość rozpłakała się.

– Prawdziwa kara Boża! zawołała witając go – patrz, mój rotmistrzu, do czego to przyszło. Wiesz… te kufry… **puste**!! majątek skonfiskują… a ja pójdę ztąd z torbami…

– A któż to, moja jejmość, tak głupio tego piwa nawarzył? począł rotmistrz; toć przewidzieć było łatwo, co z tego wyniknie?

Jejmość nie przyznała się wcale, że się przyczyniła znacznie przez nieszczęsnego Przepiórkę do wywołania oskarżeń Wala, a przez papiery wyniesione ze skarbczyka do uregulowania obwinień.

– Proszę cię – wtrąciła znowu – no, ktoby się był spodziewał, że te kuferki próżne będą?

– One chyba są teraz próżne, odezwał się rotmistrz, kiwając głową; ale że nie były próżne, za to ja jejmości ręczę. Nie przypominasz sobie tego, że ja niemal każdy sepet za ucho brałem i próbowałem go podźwignąć, a żadnegom z miejsca nie poruszył?

– Ale czyż tak było? pewnie? spytała Sabina.

– Ja jestem człowiek gruntowny, odezwał się rotmistrz, i kiedy co robię, to porządnie. Co mi znaczyły nalepione kartki… Mogło być bałamuctwo, macałem dobrze… a i brzęczało we środku.

Głową pokręcił…

– Więc to gdzieś zawczasu pochowali, – pochowali, dodała Dobkowa, – a już do rozwodu iść chciałam.

– Nie; bo ty Sabciu – odezwał się Poręba, rozsiadając w krześle wygodnie – ty nie masz cierpliwości, wszystko tu popsułaś tą swoją gorączką. A było nam cale nieźle… Wódka starka, którą teraz słyszę opieczętowano, paradna! jeść było w bród… trzeba było siedzieć i pomaleńku sobie iść krok za kroczkiem. Jejmości się zachciało nagle, a co nagle to po djable. Otóż wszystkiego utrapienia przyczyna.

Dobkowa odwróciła się gniewna.

– A co ja się z łaski waszej napokutowałem – dodał rotmistrz, – na wołowej nie spisać skórze… Ile razy wygnany byłem i głodny, co pieniędzy straciłem!

– Nie swoich…

– Już jak tylko traciłem, tom miał do nich prawo, i byłbym je sobie mógł na stare lata zaoszczędzić…

W dalszym ciągu rozmowy okazało się, że ze Smołochowa trzeba było nosić prowiant do Borowiec, i że życie w na pół opieczętowanym zamku stawało się nieznośnem.

Drugiego dnia Poręba ruszył rozumem, – spotwarzony przed Dobkiem jako podszczuwacz do złego, chciał, na wszelki wypadek, w oczach się jego oczyścić, – bo mówił sobie w duchu,

że człowiek mający pieniądze zawsze się jakoś z najgorszego procesu wyskrobać potrafi. Nie mówiąc nic jejmości, poszedł zabrać znajomość z Żółtuchowskim. Przypomniał sobie nawet, iż za dziadkiem jego była Petronella de Żółtuchow Żółtuchowska… Z pomocą tej nieboszczki Petronelli zaintrodukował się do pana komisarza, który nudził się okrutnie, mając za całe towarzystwo tylko księdza Żagla i Arona, obaj zaś oni nie mieli czasu do gawędy. Poręba był mu wielce pożądany, w godzinę się pokumali.

Rotmistrz opowiedział, że jejmość była jego krewną, i że przybył jej w pomoc, aby choć **alimenta** wyrobić, pókiby się sprawa nie rozstrzygnęła.

Siedli tedy w marjasza grać, już jako koligaci i przyjaciele. Do oblania pierwszej dubli przyszła butelczyna. Humory poróżowiały.

– Co wy tam z tym nieszczęśliwym Dobkiem robicie? spytał rotmistrz.

– A cóż? siedzi w alkierzu, nic mu się złego nie dzieje, odparł komissarz.

– Jabym się z nim nie mógł też widzieć?

– Przy mnie, dla czegóż nie?

– Chciałbym mu moją kondolencję wyrazić, rzekł Poręba. Ludzie mnie ogadali przed nim, z domu mnie przepędził, wszystko to przebaczam wspaniałomyślnie – żal mi go…

Cóż myślicie będzie z tej sprawy? dodał rotmistrz.

– Albo ja wiem? Dotąd mi idzie jak z kamienia to arjaństwo.

– E! co to wam się wdawać w sądzenie sumienia ludzkiego, – zawołał Poręba; on o to z Panem Bogiem mieć będzie sprawę… Arjanin? a wiesz asińdziej co arjanie byli?

– Straszliwe kacerstwo! zawołał komissarz.

– No, ja tam tego nie wiem i nie potrafię rozróżnić co arjanie a co ormianie… mnie to wszystko jedno, mówił Poręba, i zbliżył się do ucha Żółtuchowskiemu – ale że ten arjanin grosza miał!! a! a! a!

– A gdzież go podział?…

– Któż to może wiedzieć! Ja wam ręczę, że te kufry były pełne, bom ich próbował.

– Istotnie!

– Żołnierskiem słowem ręczę. Słuchajże kochany Żółtuchowski… co ty, co wy zrobicie człowiekowi, który ma czem ozłocić wszystkie trybunały?

– Tylko nie tam gdzie o arjanizm sprawa, odezwał się Żółtuchowski: ho! ho!

– Arjanin! ormianin! dodał Poręba, kto ich tam rozróżni! At! bałamuctwo… Chodźmy do Dobka…

Poszli tedy… W progu Poręba począł nagotowaną orację.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Widzi pan – przybywam… Choć oczerniony, choć wypędzony, choć z błotem zmieszany a za wroga poczytywany, stawię się w złej godzinie z kondolencją. Widzi pan! A co? Łotr Poręba? Oto to tak ludzi sądzą. Dzień i noc pędziłem, aby wam w złym razie usłużyć.

Dobek, który siedział w kożuszku na tarczanie i nawet się nie podniósł, popatrzał nań, ledwie głową kiwnąwszy.

– A widzę, widzę – odezwał się – żeś jegomośćprzybył pocieszać nie mnie ale zapewne jejmość. No to samże sobie do niej ruszaj, a mniebyś dał święty pokój.

– Pan jesteś niewdzięczny! zawołał Poręba.

– To rzecz wiadoma – rzekł Dobek. Ja jestem heretyk, zbójca, niewdzięcznik i co acaństwo chcecie. Cóż robić? nie każdemu Bóg dał być takim rotmistrzem Porębą – to darmo!!

Skrzywił się gość. Dobek zwrócił się do Żółtuchowskiego.

– A co tam dziś znaleźliście panie komissarzu na moje potępienie? Odkopaliście kaplicę… zbór i co?

– Dotąd nic – rzekł Żółtuchowski.

– A co mi napsujecie ziemi i muru, niech wam Pan Bóg nie pamięta – dodał Dobek.

Popatrzał się na nich obu, kiwnął głową i pożegnał, dając znać, że radby ich widział za drzwiami – Poręba szasnął nogą… Żółtuchowski odchrząknął – wyszli.

– Zacięty stary!! odezwał się komisarz…

Tegoż samego dnia gdy rotmistrz podążył do zamku i miłą zrobił znajomość z Żółtuchowskim, umawiając się z nim o marjasika… poźno w noc dwóch podróżnych zajechało na drugą połowę domu Arona Lewiego.

Gospoda to była murowana, jedna z największych w mieście i miała w pośrodku bardzo obszerną stajnię, a po obu końcach mieszkalne izby. Tych jedną część od rynku zajęła komissja z p. Żółtuchowskim, druga pozostała Aronowi i jego licznej rodzinie. Podróżnych oprócz wieśniaków z przysiółków i agentów Arona z różnych świata stron, nigdy tu prawie nie widywano. Osobliwością też było, że się tu jacyś zjawili i pewnie, gdyby przejechali we dnie, połowa Żydów z miasteczka, wyszłaby na ich spotkanie… Ci zaś przyjechali późno, w noc ciemną i dżdżystą, a nim im otworzono, musieli się umawiać z gospodarzem, gdyż wrota otwarto po cichu i wpuszczono ich bez światła, ostrożnie, jakby się lękano zwrócić na nich uwagę. Była już prawie północ, Aron sam tylko nie spał jeszcze i modlił się, chłopak go wywołał i po dość długiej naradzie dopiero, nie budząc pachołków, wóz wtoczono, podnosząc koła na progu, aby stukotu uniknąć.

I zamętu żadnego przybyciem swojem nie sprawili w domu, gdyż natychmiast po tem ucichło. A że Żółtuchowski po swojemu już chrapał, jego tylko na całą gospodę słychać było.

Aron miał w tym drugim końcu domu, do którego wpuścił podróżnych, prywatne swoje i rodziny mieszkanie, do którego nie rad obcych wpuszczał. Tu mieszkała żona jego i córki, tu znajdowała się izba paradna, w której się cała familja w wielkie uroczystości zgromadzała. Gdyby Żółtuchowski nie chrapał tak głośno, a służba nie była jak zawsze podpojona musiałoby to uderzyć ich, że tajemniczo wprowadzono przybyłych, pozamykano drzwi, a z końmi po ciemku się tak uwinięto i brykę zasunęli ludzie za przegrodę w stajni, że nazajutrz nikt się domyślać nie mógł przybyłych gości. Aron który i od czasu uwięzienia, pana Dobka sypiał zawsze w alkierzu obok niego, aby mieć sposobność z nim się rozmówić i naradzić – tej nocy wyszedłszy do podróżnych, już nazad nie powrócił.

Wszystko to przeszło niepostrzeżenie dla p. komisarza, pisarza i kancellarji, gdyż ci nie nazbyt się gorliwie brali do scrutinium, a radziby je tylko byli przedłużyć, aby jeść i pić cudzym kosztem.

Wykrycie owych szczątków arjan od przeszło stu lat z kraju wywołanych i ściganych, nie tak bardzo komu na sercu leżało, oprócz może ks. kanonika, który z gorliwości swej religijnej byłby gotów najostrzejszych użyć przeciw nim środków. Ten jeden gniewał się na opieszałych i o ostygnięcie w sprawie wiary obwiniał cały świat; lecz mu nikt nie wtórował. W ten arjanizm skryty nie bardzo na prawdę wierzono, i po cichu pytano się, co owi arjanie, utajeni przez sto kilkadziesiąt lat, krajowi złego uczynili, żeby ich tak niszczyć i tępić miano? Wiek to już był w którym tolerancja wchodziła w prawa i zwyczaje, chociaż massy jeszcze nie rozumiały jej, a duchowieństwo przeciwko temu prawu gorszenia, jak go zwało, występowało.

Dla tego, za głównego winowajcę, jeśli jaki miał być, uważając pana Dobka, którego w ściślejszym trzymano areszcie, komissja nie uznała za potrzebne ludzi dworskich, obwinionych też o skryte kacerstwo, zakuwać i zamykać. Puszczono ich prawie wolno, wiedząc że od rodzin i domów nie zbiegną.

Wypuszczając też z razu uwięzionego Eliasza, który chodził wolno, a innych jego współtowarzyszów ledwie na chwile do badania wezwawszy, z warunkiem stawienia się na rozkaz, do domów odesłano. Nie miała z tego pociechy pani Dobkowa, bo jej nikt a nikt służyć nie poszedł; wszystko się to rozbiegło, pochowało i pokątach nad losem swym i pana płakało. Eliasz może ze wszystkich najczynniej się i najśmielej krzątał, ale tylko około interessów pana swego, pilnując, aby mu nie zbywało na niczem. Aron i cała można powiedzieć ludność miejscowa stała na straży swego pana, nader nieprzyjazne objawiając usposobienia dla pani Dobkowej i jej dworu, dla komissji, Żółtuchowskiego, a po części nawet dla kanonika.

Węzeł, który łączył ów stary dwór z ludnością, daleko silniejszy okazywał się teraz niż zdawał kiedykolwiek. Trzeba też wyznać, iż Dobkowie ludzko obchodzili się zawsze z całą włością, że nastręczali zarobki, nie wymagali posług daremnych, opłacali należności regularnie, a handel drzewny pana Salomona nie tylko jego, ale i mnogich robotników bogacił.

Wszelkie więc żywioły obce, które wnosiły z sobą niepokój, groziły zmianą starego porządku i występowały przeciwko Dobkom, znajdowały w Borowiczanach nieprzyjaciół. Pani Dobkowa co chwila o tem mocniej przekonywając się, w nocy musiała się barykadować ze strachu, aby jej się co złego nie stało; rotmistrz trzymał przy sobie nabite pistolety – reszta ludzi niechętnie za pokoje wychodziła… W oczach i wejrzeniach spotykali wyraz nienawiści i groźby, na którym omylić się nie było podobna. Położenie ich stawało się coraz nieznośniejsze na zamku, którego Dobkowa dla tego tylko opuścić nie chciała, że jej się zdawało, iż prawo powrotu doń utracić może. Najniewprawniejsze oko uderzać to musiało, że ludzie kręcili się jakoś, chodzili, patrzali, przenosili różne drobnostki, spotykając się z sobą szeptali coś na ucho, dawali sobie jakieś znaki… słowem zajęci czemś byli pilno – takiem, o czem przybysze nie wiedzieli. Dobkowa te ruchy postrzegła, i jako niewiasta ostrożna, poszła zaraz na probostwo do ks. kanonika, który jeden gorliwiej przeciw arjanom był usposobiony.

– Księże kanoniku – odezwała się ręce łamiąc – wszystko to, co ta komissja tu robi, na nic się nie przyda! Nic nie dojdą, oni na swojem postawią, i – jak pochowali skarby, tak skryją papiery i dowody wszelkie. Jakże może być? ludzi dworskich puścili wolno, ci się znają jak łyse konie, na zamku ciągłe konszachty, Eliasz do pana Dobka się suwa. Niby to do Arona za czemś chodzi, a ja przysięgnę, że i Żyd i wszyscy Żydzi w spisku, i ludzie wiejscy, i ile ich tu jest… a potem jeszcze mścić się będą.

– A cóż tu poradzić z nimi? zawołał kanonik. Czy asińdźka myślisz, że ich w najmniejszej rzeczy sprawa religii i obraza Pana Boga obchodzi? Tacy to pono wszyscy oni katolicy, jak Dobkowie… im aby siedzieć, jeść i pić…

Ręką rzucił ks. Żagiel i począł się po izbie przechadzać.

– Mój ojcze, a cóż z tego wszystkiego będzie? spytała Dobkowa.

– Albo ja wiem! albo ja wiem!…

Odwrócił się ku jejmości nagle.

– To, co asińdźka mi powiadasz, niczem jest jeszcze; ja gorszą rzecz mam… na nich, dowodzącą, że tu nas spisek otacza. Pamiętasz pani te papiery, które złożyłaś w moich rękach, wyniósłszy je z owego loszku? Zawierały one dowody najdobitniejszej winy; całe życie Adama, zeznania jego zabójstwa, nauki dla syna i współwyznawców. Sam przecież papiery te czytałem i złożyłem komissji. Otóż tych papierów, nie ma.

– Jakto nie ma? a cóż z niemi się stało?

– Niewiadomo! rzekł śmiejąc się ks. Żagiel ponuro i ironicznie. W komissji są jakieś papiery niby przezemnie złożone, ale których ja nie poznaję… Regestra… modlitewki, bałamuctwa, cale co innego… gdzie się rzeczywiste podziały nikt nie wie. Mówią, że innych nie było…

Na oko, patrząc z dala, sambym przysiągł, że to te same… tak zręcznie podsunięto podobne, tymczasem pierwszych ani śladu… Oburzyłem się… narobiłem hałasu… przewróciłem kancellarję… zbiegli się pisarze, skrybenci… wszystko było pod kluczem, nikt o niczem nie wie… Przepadło!!! Żółtuchowski się na mnie oburza, że mi się przewidziało… pisarz się gniewa, inni krzywo patrzą… no coż tu począć?

Przecież, mówił ciągle ks. Żagiel – nikt obcy do kancelarji nie miał przystępu, nikt z kancelarzystami stosunku… nikt tu na probostwo nie przychodził… klucze i zamki całe…

Ruszył ramionami ks. Żagiel.

– A papiery z dowodami przepadły!

– Otóż tak jest i w innych rzeczach, mój księże kanoniku – ozwała się Dobkowa. Ja tu nieszczęśliwa nie wiem jak wytrwam. Boję się, żeby mi czego w jedzeniu nie podano, taką to wszystko pała nienawiścią do nas… Przepiórka taki bystry i przebiegły, od kilku dni jak ścięty – chce uchodzić,

powiada, że się czuje źle i że mu coś w wódce zadano. Rotmistrz tem się pociesza, że z Żółtuchowskim żyje i za niego się chowa. Jak mi ks. kanonik radzisz? siedzieć czy do Smołochowa jechać?

Nic asińdźce nie radzę, bom sam ze smutku i strapienia głowę stracił, rzekł kanonik. Żyjemy w wieku bezbożności i indyfferencii, masoni wymyślili tolerancję, nikt religii nie broni, nikt w sprawie jej nie staje… Dyssydenci panami będą, nie my… to darmo. Jezuitów skassowano… otóż skutki…

Dopóki oni tu byli, nigdyby do takich bezkarnych ekscessów nie przyszło. Któż wie? jutro może arjanom też na publiczne wyznawanie ich wiary dozwolą…

Kanonik westchnął.

– Koniec świata! Antychryst niedaleko!

Dobkowa, której pono więcej o nią samą szło, niż o bliskie zjawienie się Antychrysta, powtórzyła pytanie:

– Cóż mam robić?

Ale tak płaczliwym głosem, że ks. Żagiel aż się ku niej zwrócił.

– Nie pytaj mnie pani, nic nie wiem; przewiduję, że źle będzie… jeśli się rzeczy skończą oczyszczeniem ich z zarzutów, bo i papiery znikły, i Wal się zapiera tego co zeznawał, podobno i ja będę musiał prosić o zmianę probostwa, bo i mnie tu nie bardzo będzie wygodnie.

Dobkowa załamawszy ręce, pożegnania nawet zapominając, wyszła z probostwa wprost do rotmistrza, który w swej izdebce z kraciastem oknem siedział przy butelce, grając na gitarze dla rozerwania smutnych myśli. Zamiast butów miał futrzane zimowe berlacze na nogach i strój wielce zaniedbany, tak, że w każdym innym razie byłaby się jejmość cofnęła.

– Rotmistrzu, zawołała wchodząc, wiesz co się święci? wiesz? Cóż ten twój Żółtuchowski robi, na miłość Boga! Papiery z pod rąk mu wykradli, Dobki te przeklęte wszystkiego dokażą czego zechcą…

– Któż to asińdźce powiedział? zapytał niewzruszony rotmistrz, kładnąc gitarę… i śmiejąc się wesoło. Ja lepiej wiem trochę… jak rzeczy stoją. Pana Dobka pozajutrz ztąd wywożą, i sądzić będą z regestru arjanismi, a potem albo go na stosie spalą, albo go kołem będą tłuc, lub na cztery części go rozerwą… Już bardzo będzie szczęśliwy, jeśli się skończy na mieczu lub stryczku… Są dowody, że arjanie skryci byli… zatem nie ma pardonu! Jejmości oddadzą jeśli nie całe Borowce, to pół przynajmniej, za co mi Żółtuchowski ręczył, prawda podchmielony, ale co u trzeźwego na myśli, u pijanego na języku. Ja o asińdźki interesach nie zapominam… a jak tylko tego Dobka sprzątną, pobierzemy się…

Pani Dobkowa spojrzała na wypróżnioną prawie butelkę, i zrozumiała fantazję pana Poręby z niej zaczerpniętą.

– Bredzisz! odparła krótko.

– Bądź Sabciu spokojna! stryczek starego nie minie, jejmościne prawa wdowie zostaną uznane, ja się z tobą ożenię jak należy… i…

Porwawszy gitarę rotmistrz, począł przy niej zawodzić głosem ochrypłym:

Moja kochana
Czarne oczki ma,
A jak spojrzy temi oczy,
Mało serce nie wyskoczy,
Takie oczka ma!
Takie oczka ma!

I już rozpoczynać miał strofę drugą, gdy pani Dobkowa drzwi zatrzasnąwszy wyszła…

Było to nazajutrz po nocnem przybyciu owych dwóchpodróżnych do Arona, o których nikt nie wiedział, bo ich nikt nie widział, a nawet żyd zagadnięty przez jednego z pachołków, który ocknąwszy się, słyszał, jak wóz wciągano i przeciw światła cienie jakichś ludzi miał dostrzedz… zaczął się

z niego śmiać, że chyba we śnie mu się to marzyło… nazajutrz tedy żadna zmiana w położeniu nie zaszła, Eliasz kilka razy tylko to z bielizną, to z różnemi rzeczami chodził do pana Dobka… Wieczorem Aron, nie sam, ale przez poczciwego rotmistrza zaofiarował panu Żółtuchowskiemu antałek wina, żeby sobie choć jeden dzień mogli po trudach wypocząć i podochocić. Żółtuchowski też zaraz do siebie wszystkich na wieczerzę kazał prosić, indyka upiec, jajecznicę smażyć, i postanowił mały lusztyk sprawić. Rotmistrz podejmował się to urządzić. Żeby zaś pachołków i gawiedź sądową zbyt oskoma nie brała, połykając ślinkę, a patrząc na hulającą starszyznę, dano dla czeladzi baryłkę jarzębinówki, nad którą zdrowszej rzeczy, jak wiadomo, nie ma na świecie…

Grano tedy w marjasza, śmiano się, opowiadano anegdotki, facecje, zapijano z antałka postawionego pod oknem, na którym sam Żółtuchowski kredą napisał:

„Usui publico patens."

Ochota była taka, iż o godzinie pono czwartej, po drugich kurach, rozeszli się jedni do plebanii, drudzy po kwaterach, i to nie o własnych siłach, ale *junctis viribus* się wspierając… kreśląc po błocie gzygzagi… Czego nigdy jeszcze w Borowcach nie bywało, w rynku nocą słychać było chórem nucone pieśni… Zgorszenie wielkie. Nad ranem wszystko ucichło.

Rozumie się, że nazajutrz do roboty około godzinydwunastej jeszcze nikt nie był gotów. Rozbijano się o kwaśne ogórki. Pan Żółtuchowski chciał w południe dowiedzieć się, co z Dobkiem się dzieje i dobre słowo mu powiedzieć z powodu, że w nocy mu spać nie dali. Na progu jak zwykle stał pachołek, ale tym razem zamiast stać na straży, siedział i spał plecami oparty o drzwi.

Ledwie się go komisarz dobudzić potrafił. Ocknąwszy się, oczy przetarłszy, chciał wnijścia bronić, ale go, śmiejąc się z tej gorliwości, odepchnął Żółtuchowski, w izbie jeszcze okiennica była zamknięta, i z tego powodu ciemno było zupełnie. Na tapczanie leżał pan Dobek owinięty kołdrą i tak śpiący twardo, że go wnijście komisarza nie przebudziło. Czując się do winy, nie myślał go też komisarz ze snu wyrywać i powrócił do siebie.

W kancelarji tego dnia, z wielkiem zgorszeniem ks. Żagla, same kwaśne rzeczy jedli i pili, a o robocie mowy nie było. Rotmistrzowi głowa bolała i leżał u siebie. Słowem wieczór z antałkiem dał się czuć wszystkim, co w nim udział mieli. Wino było doskonałe, piło się smaczno, gładko, ale zamiast do żołądka szło do głowy.

Są jak wiadomo, różne wina po świecie – i takie, co do nóg tylko idą, i takie, co do głowy, i takie, które bezkarnie się pije, jak wodę prawie. Żółtuchowski utrzymywał, że antałek ten bodaj czemś był zaprawny…

Przechorowali po nim, kto się go tylko dotknął. Cały tak dzień zmarnowawszy… trzeciego chcieli to sobie wielką gorliwością wynagrodzić… posłano na zamek badać lochy… wyprowadzono Wala do protokółu… na ostatek i pana Dobka chciano wezwać… gdy – nagle – sądny dzień! hałas! krzyk!..

Pana Dobka ani śladu nie było. Leżał wprawdzie na posłaniu kul słomy zawinięty w kołdrę, ale więcej – nic…

Gdzie, kiedy, jak zniknął – niepodobieństwem było dośledzić… Eliasza także znaleźć nigdzie nie było można… a co najokropniejsza, że i Wal z więzienia i z pod ścisłej straży uszedł. Starzec, niedołęga jakim sposobem mógł się wymknąć, nikt nie pojmował. Dosyć, że i jego nie było…

Pan komissarz piorunami ciskając, chciał wszystkich wiązać, łapać… brać na pytki, – a no pozostali tylko dzieci i zgrzybiali starce…

Popędził na probostwo do kanonika. Ten już o wszystkiem wiedział i w oczy się komisarzowi śmiał.

– Musiało tak być, rzekł, do tego szło… waćpaństwoście winni sami.

Komisarz włosy niemal byłby sobie z głowy rwał, gdyby je miał – ale ich niewiele zostało i to tylko za uszami. Targał za to wąsy i klął siarczyście. W ogóle jednak niewiele to pomagać zwykło.

Ks. Żagiel sfukał go jeszcze za obojętność dla sprawy religji, i powiedział, że sam świadczyć gotów, jak tu się owo scrutinium odbywało niedbale. Z odrobiną pachołków, których przy sobie miał komisarz, nic poradzić nie mógł. Arona chciał kazać uwięzić, ale ten wczoraj o południu spokojniuteńko sobie wyruszył na jarmark do Berdyczowa.

Gdy wieść o zniknięciu Dobka doszła do zamku, jejmość plasnęła w ręce i krzyknęła tylko.

– A! ja nieszczęśliwa! teraześmy wszyscy zginęli…

Posłała po rotmistrza, a ten leżał chory po winie kurował się wódką z pieprzem, ale i to tak dzielne lekarstwo nic nie pomagało – nie mógł nawet przyjść na zawołanie. Pobiegła do niego…

– Wiesz co się stało! zawołała od progu.

– A no, wiem! wiem… Dobek *fugas chrustas* wykonał… bardzo zręcznie, nigdybym się tego po nim był nie spodziewał… teraz trzeba pono i nam się ztąd wynosić…

– Któż temu winien! krzyknęła Dobkowa, kto? wy! opoje! bibuły przeklęte! Dał wam Aron dyweldreku w winie i piliście go aż wam rozum odebrało, a oni tymczasem sobie spokojnie w drogę się pakowali.

– Moja Sabciu, odparł rotmistrz, bądźże sprawiedliwa. Jam nie sprawiał lusztyku, tylko Żółtuchowski, a gdzie inni piją, żeby znowu nie pić… to nadludzka rzecz!… Cóż asindźka chciałaś! żebym ja sobie dał lać za kołnierz… i żebym innym despekt czynił, a sobie mortyfikację?… Wino było dobre, ale w niego spirytusu namieszali, może być, nie co innego, tylko jakiegoś spirytusu… Że Aron antałek ten dał umyśnie, aby nas popoić… może być, trzeba go okuć.

– Nie ma go dawno… I Wal z więzienia wykradziony.

– Ej! ej! i papiery zginęły, i Wal zniknął! rzekł Poręba; *casus fatalis*! Jedź jejmość zawczasu do Smołochowa, a i ja się zapakuję, nie mamy tu co dłużej popasać.

Mężniejsza od Poręby pani Dobkowa, poradziła sobie inaczej; wszystek ten sprzęt, jaki jej w nieopieczętowanem mieszkaniu Laury pozostawiono, kazała nawszelki wypadek wywieźć do Smołochowa. Oprócz tego co tylko się gdzie kosztowniejszego znalazło, zabrała tak dalece, że z sypialni dawnej Lorki, gdzie ściany były obite materją jedwabną, i tę z ram wykroić kazała.

Rabunek ten poddał myśl rotmistrzowi pochodzenia po zamku, czyby się też i jemu co nie udało na rachunek jejmości zdobyć. Jakoż gdzie pieczęci nie było, a sprzęt lepszy stał, odesłano go zaraz.

Dobkowa zaś sama nie chciała się ruszyć, trwając w miejscu do ostatka, i rotmistrza nie puszczała.

Komissja prześledziwszy lochy, groby, mury, naświdrowawszy dziur, nakopawszy dołów, narozbijawszy ścian, zabierała się opuścić Borowce, które jednak sekwestrem obłożone i w administrację skarbową oddane być miały. Dobkowa postarała się, aby ta jej powierzona była. Jakim sposobem do tego dojść potrafiła po kilkakrotnem widzeniu się z Żółtuchowskim, nawet rotmistrz nie wiedział i mocno się temu dziwował.

Gdy mu się z tem przyszła pochwalić Dobkowa z radością wielką, Poręba rzekł połowę przysłowia tylko:

– Nie miała baba kłopotu… kupiła sobie Borowce.

Miłośnik świętego pokoju i wczasu, rotmistrz nie miał tego ducha przedsiębierczego, który chwilami panią Dobkową ożywiał. Dziwił się nieraz jej determinacji. Otrzymanie administracji dóbr natchnęło ją męztwem nadzwyczajnem i przywróciło postradaną ruchawość gorączkową. Nie mogąc do niczego użyć rotmistrza z gitarą, posłała po Będziewicza, po ludzi do Smołochowa, ekonoma ze swojej ręki ustanowiła, objęła magazyny, słowem zaczęła się rządzić, wedle wyrażenia Poręby, jak szara gęś. Ludzie dworscy, dawniejsza służba w większej części pochowała się, rozbiegła i na nic nie była przydatna; pani Dobkowa Przepiórkę naznaczywszy niby marszałkiem, postarała się o nowych ludzi.

W całej tej czynności nikt jej na pozór nie przeszkadzał, lecz jak dawniej tak teraz opór bierny spotykała wszędzie. Słuchano, gdy musiano, lecz rozkazy się nie spełniały lub opornie i opieszale.

Na samym zamku komissja pozdejmowała pieczęci, tu więc mogła jejmość królować jak się podobało. Rotmistrz kilku ludzi wziąwszy, bo się obawiał przypadku, poszedł się jeszcze raz skarbowi przypatrzyć…

Niezmiernie mu żal było uronionych summ neapolitańskich, a że je ztąd uniesiono znalazł później śledząc najwyraźniejsze poszlaki. W kątku nawet pod piaskiem zgubionego dukata węgierskiego odkrył. Macając cegły po ścianach, bo pamiętał, że pod jedną z nich były klucze ukryte, dopytał się nawet do pustej kryjówki w murze, gdzie było kilka worków, sznurków i kilka kartek z cyframi, ile dukatów zawierały…

Dalsze pukania i roboty do niczego nie doprowadziły, oprócz srogiego serca ucisku.

Tak wcale niespodzianie Sabina choć w części osiągnęła upragniony cel, stając się panią Borowiec, a obiecując sobie wszelkiemi środkami przy nich się utrzymać. Miała nadzieję i grosza jeszcze sporo pochwycić za przygotowany materjał leśny, potasze, klepkę, smołę i bale, które na wodę iść miały, lecz Żydzi złożyli się formalnemi przy świadkach wydanemi kwitami, iż wszystko to było ich własnością od dawna zapłaconą. Zabiegli też zawczasu w urzędzie, iż na to sekwestru nie nałożono.

Rotmistrzowi powoli dobra myśl wróciła; inaczej się teraz na obrót rzeczy zapatrywał, rozumiejąc, iż Dobek o arjanizm obwiniony powrócić nie będzie śmiał nigdy, a jejmość powoli kaduka na dobre otrzyma.

– Żeby zkąd sepulturę jeszcze tego starego wydostać, mógłbym się już z nią ożenić, dodawał po cichu; nie mam nic lepszego pono na widoku.

Objąwszy zarząd piwnicy, jako tako opatrzonej, wybrawszy sobie pokoje Laury na mieszkanie, rotmistrz był dosyć z losu zadowolony. Będziewiczowi powierzono gospodarstwo.

Znając powolność, z jaką naówczas sprawy wszelkie się odbywały, mogła pani Dobkowa rachować na to, że będzie mogła w Warszawie, korzystając z przewłoki, wyrobić owego kaduka. Zbierała więc tylko potrzebny zapas, ażeby w podróż się puścić.

III

Wiadomość o położeniu ojca, którą Honory przywiózł Laurze do Warszawy, przeraziła ją z razu – ale w tejże chwili postanowiła natychmiast lecieć mu pomódz do Borowiec… Rachowała na to, że tam ją kochali wszyscy, że podadzą jej rękę chętnie, aby p. Salomona wyrwać bodaj siłą z więzienia. Zdawało jej się to najpierwszą do wykonania, najpilniejszą rzeczą, aby mu oszczędzić cierpienia… potem, gotowa była w Warszawie poruszyć wszystkich znajomych i nieznajomych, trafić do króla, zaofiarować się sama… byle ojca wyzwolić… a z ojcem ocalić pamiątki, do których była przywiązana… Wprzódy jednak, nimby się te kroki ostateczne przedsięwziąć mogły, potrzeba było p. Dobka w bezpiecznem ukryć miejscu, aby w razie jakich przeciwności i niebezpieczeństwa mógł ujść za granicę i czekać tam póki się sprawa nie rozwiąże. P. Honory zgodził się na ten plan Laury, której serce i głowa płonęły… Chciała jechać natychmiast, i ledwie do jutra wstrzymać potrafił ją brat tą uwagą, że należałoby pożegnać znajomych i im się wcześnie polecić. Laura wybrała tylko jedną kasztelanową, więcej nie chciała się widzieć z nikim. Nazajutrz wybór w drogę, poszukiwanie towarzyszki, którą wziąć z sobą chciała, zabrały czas do wieczoru. Późno już, namyśliwszy się zrzucić strój męzki, ubrana czarno jak zawsze, podała rękę Honoremu i razem pojechali do pani Wiskiej.

Nieszczęśliwym czy też pomyślnym trafem, w przedpokoju na zapytanie czy jest sama, odpowiedziano im, że ma u siebie osób kilka, a między innemi i hr. Artura. Laura ani mówić przy obcych, ani czekać ażby się rozeszli nie mogła – wyjazd naglił; posłała więc kamerdynera, prosząc kasztelanowej o kwadrans rozmowy na osobności. W chwilę potem grzeczny Francuz wprowadził ich do małego pokoiku przy sypialni pani… któremu mieli się czas przypatrzyć. Było to caceczko, pałac pamiątek świeckich i świętych, dosyć dziwnie zmieszanych z sobą, jak w rozmowie kasztelanowej mieszały się wciąż *sacra cum profanis*, bez złej woli – ot tak – przez wrodzoną jej żywość i poplątanie tego czem była dawniej, z tem, czem świat ją uczynił. Obrazki religijne i miniatury dobrych przyjaciół, relikwie z Rzymu i zeschłe kwiaty – rozstania pamiątki (*adieu! à jamais*!) – modlitewki z błogosławieństwy i wiersze miłosne stały obok siebie w ramkach… na książce od nabożeństwa leżała Heloiza…

Kasztelanowa uwolniwszy się od rozmowy, wtoczyła się zadyszana, oglądając ciekawie, poznała Laurę, a oczyma mierzyła Honorego, którego jej ona zaprezentowała…

– Brat mój stryjeczny, rzekła, mam honor przedstawić go pani i razem z nim ją pożegnać… Zabiera mnie z sobą, jechać musimy natychmiast, nie chciałam jednak uciec ztąd nie ucałowawszy rączek pani… Wiele w tem egoizmu, bo się muszę jej łasce polecić i prosić zawczasu o protekcję.

– A i cóż się wam stało… moja piękna, czy – mój piękny! odezwała się śmiejąc kasztelanowa…

– Nie piękna, ale wielce jej wdzięczna za dobroć, za niezasłużone dowody życzliwości, nieszczęśliwa kobieta, przychodzę z prośbą!… Dowiesz się pani o smutnych naszych tajemnicach – a jestem pewna – dopomożesz!

– O! jeśli to tylko w mej mocy! ściskając jej ręce, rzekła gospodyni.

– Zaopiekuj się mną pani! przerwało jej dziewczę; wszakże niedarmo Opatrzność mnie rzuciła na drogę… pod nogi tobie, musisz podnieść!

– A! podniosę, utulę i zrobię co chcesz… jeśli mogę… ale o co idzie? siadajcie! może… poczęła pani Wiska. Moi goście, choćby się trochę zniknięciu memu dziwowali – niech poczekają.. Artur mnie zastąpi… Słucham.

Laura westchnęła i poczęła z cicha:

– Zda się pani ta cała historja dziwną jak moje postępowanie, ale ja skazana jestem na losu dziwactwa. Rodzina nasza należała do tych, które niegdyś przyjęły – nazwiej to pani jak chcesz – czy… czystą wiarą Chrystusa, czy błędy arjańskiemi… Arjanie byliśmy… a może jeszcze jesteśmy trochę… W godzinie prześladowania ojcowie nie mieli odwagi jak inni wynieść się z kraju… woleli ukryć swe przekonania, taić się z niemi i wyznanie swe w sercu dla przekazania dzieciom przechować.

Nazwiej to pani słabością – ja uniewinniać nie będę – tak było… Dawne to dzieje, zapomniane dzisiaj, pleśnią okryte… Wszyscy o arjanach zapomnieli; my w kątku… zachowaliśmy cześć dla wyznania dziadów – nikt nas o to ani obwiniać, ani sięgłębi serca mógł domyślać… Wiara nasza jeśli szkodziła komu, to tylko nam samym.

– Arjanie? arjanie? ale proszęż cię, przerwała kasztelanowa, coś ja o nich słyszałam… a doprawdy nie wiem dla czego arjan prześladowano!

– Może dla tego, cicho szepnęła Laura, że chcieli iść własną drogą, nie idąc ślepo z drugimi; może dla tego, że z nauki Chrystusa brali miłość – moralność jej, ofiarność, a zaniedbywali obrządków… ja nie wiem… dość, że arjan jako niebezpiecznych kacerzy wygnano, a kogoby z nich odkryto… zagrożono karami najsroższemi…

Ojciec mój i ja – jesteśmy ostatni z rodziny, skrycie naukę tę przechowującej… Niktby nie wiedział o tem i nie ścigał nas… bośmy nie sprzeciwiali się zewnętrznym cechom katolickiego kościoła, w sercu chowając naukę – gdy nieszczęście chciało, by w dom nasz weszła zła kobieta, macocha – ta, od której ja uciekać musiałam… Jej to sprawa; ojca mojego uwięziono, zagrożono mu sądem i karą, jaka dotąd arjan z prawa dotyka…

– Ale moja droga, przerwała uśmiechając się kasztelanowa, to coś niepojętego! Mnie się zdaje, że dziś, gdy ateizm głośno się przyznaje a nikt mu nic nie mówi, gdy teizm jest w modzie, jakieś tam smażone kacerstwo nie podobna by karane było! Dziś! za panowania naszego króla!

– Tak pani, pod jego bokiem, w stolicy, byłoby to może niepodobieństwem, zawołała Laura; na prowincji i pojęcia są inne… i duchowieństwo wpływ ma większy… Nie wiem, tak mi się to zdaje, lecz faktem jest, że jakieś prawo istnieje… że ojca obwiniono… że przetrzęsiono dom szukając dowodów winy, że nieznaleziono nic, oprócz książek naszych… że go uwięziono…

– Uwięziono!

– Ja jadę natychmiast, dodała Laura, wykradnę go, odbiję, ukryję w miejscu bezpiecznem, – ale któż się mną i sprawą zaopiekuje tu – u króla, u trybunałów, u duchownych? Ja liczę na panią kasztelanową…

Gospodyni zmieszała się trochę, snadź jej to nie było tam miłe, jak się spodziewała Laura; pośpieszyła jednak odpowiedzieć grzecznie:

– Zrobię co tylko będę umiała i mogła, choć doprawdy nie mieści mi się to w głowie!… Czyżby to groźnem być mogło?

– Wszystko się staje groźnem, gdy się u nas nie ma opieki… rzekła Laura; ja czepiam się pani i nie puszczam!

Pani Wiska wstała.

– Bądźże tylko spokojna, rzekła żegnając zakłopotana. Zdaje mi się, że twa gorąca imaginacja tworzy ci niepotrzebne postrachy…

– Ale ojca uwięziono!

– A! to go uwolnić muszą!

To mówiąc pokłoniła się kasztelanowa, tłómacząc, że musiała pośpieszać do gości. Honory i Laura już wychodzić mieli, gdy w progu ukazał się siostrzeniec hr. Artur, a zobaczywszy Laurę, prawie gwałtem przebił się przeze drzwi….

– Pani nie wejdziesz do salonu? zapytał, spoglądając na Honorego i na nią.

– Nie mogę, panie hrabio, ja i mój brat (wskazała chorążyca), wyjeżdżamy na wieś… Przybyliśmy pożegnać tylko panią kasztelanową… a ponieważ szczęśliwym trafem pana tu widzę, dodała chwytając go za rękę i wlepiając w niego śmiało niebieskie swe oczy, pozwól panie hrabio, bym się twej poleciła pamięci. Jestem w położeniu przykrem, z którego tłómaczyć się nie mogę; jestem zagrożona boleścią tem większą, że nie mnie, ale najdroższego mi ojca dotyka; będę potrzebowała protekcji, pomocy, opieki, – nie odmówisz mi jej pan!

– Nie pytając o co idzie, gorąco odparł hrabia, nie chcąc nawet wiedzieć o tem… oświadczam się cały, *corps et âme* na usługi pani!

– Pamiętaj hrabio – i jeśli się do tego słowa odwołam… powtórzyła Laura.

– Dotrzymam go święcie! żywo rzekł hrabia, mimo znaków, jakie mu bojaźliwa dawała kasztelanowa.

– Rachuję na pana…

– Jak na najwierniejszego sługę! To mówiąc hrabia, przycisnął rękę jej do ust; Laura się zarumieniła.

– Pamiętaj, dodała raz jeszcze, i wybiegła.

Honoremu to pożegnanie uczyniło wrażenie przykre… Laura postrzegła to, i smutny uśmiech przebiegł po jej ustach.

– Cóżeś ty zazdrosny? spytała.

– Może, odparł cicho zawstydzony Honory.

– Nie masz do tego prawa! odrzekło dziewczę… a ja cię z góry ostrzegam… że gdy będzie szło o ojca… gotowam najstraszliwiej **udawać** że ciebie zdradzam! Cóż chcesz? jestem aktorką! Sztuką posługiwać się będę w życiu!

Westchnęła, i łzy potoczyły się po jej twarzy…

– Trzeba ojca ratować! najprzód ratować ojca! dodała.

Wróciwszy do mieszkania, zastali już wszystko gotowem, nawet panią Słomińską, którą Laura chciała mieć za towarzyszkę podróży… Była to dawna pańskich dworów sługa, poczciwa kobiecina, która bywała wiele po świecie i doświadczyła niemało – żadna też podróż, choćby w najdziwaczniejszych warunkach nie zastraszała jej, a każda była pożądana, bo ją od pracy siedzącej odrywała… Słomińska upakowana już była, gotowa. Objęła rzeczy swej pani i nie wykrzykiwała nawet, widząc ją przebierającą się po męzku… Wszystko troje razem siedli na brykę, a pani Słomińska byle jechać, nie bardzo nawet pono dopytywała dokąd jedzie. Podróż odbywali jak można najśpieszniej, jednak zawsze jeszcze za powolnie dla Laury, i czwartego dnia stanęli w najbliższem od Borowiec miasteczku, w którem zięć Arona miał sklep korzenny i dom zajezdny. Była to stacja konieczna dla wywiedzenia się o stanie rzeczy w Borowcach i narady co czynić wypadnie. Mordko, Arona zięć, równie jak teść był cały na Dobków usługi, wiedział przynajmniej co przed kilku dniami działo się w Borowcach, i po godzinnej rozmowie i odebraniu instrukcji, na całą noc ruszył do Arona, by od niego dostać świeżego języka i obmyślić, jakby tam oczu nie zwracając, dojechać było można. Aron dowiedziawszy się o przybyciu Laury, zamiast listu lub rady, sam przyjechał z zięciem do kochanej panienki. Gdy wszedłszy do izby w której siedziała z Honorym, zobaczył ją w tem ubraniu męzkiem, ogorzałą, zmęczoną, z włosami obciętemi, zmienioną smutkiem, niepokojem i niewywczasem – załamał ręce i rozpłakał się.

Potem zaczęło się rozciągłe, nieskończone, przerywane wykrzyknikami opowiadanie o sprawach pani Dobkowej, pana rotmistrza Poręby i filuta Przepiórki, o zdradzie starego Wala, o uwięzieniu Dobka i daremnych dotąd na zamku poszukiwaniach – Aron pochwalał wielce myśl wykradzenia p. Salomona.

– Niech panienka przyjedzie, to jemu serca doda, rzekł, niebezpieczeństwa nie ma, bo ja nie dwie, nie trzy, ale piętnaście osób schowałbym w domu, a w miasteczku choć sto, gdyby była potrzeba. – Niech państwo zawiozą jegomościa gdzie na bezpieczne miejsce i starać się rozpoczną, to się pieniędzmi o wszystko wystarają. A jeżeli rozwody są… niechaj sobie jejmość wraca do Smołochowa, choćby jej za to płacić przyszło… Ona wszystkiego nam nieszczęścia naniosła.

Honory był za tem, aby p. Salomon schronił się do Konopnicy, czemu Laura zrazu była przeciwna, potem spojrzała nań i zamilkła. – Zobaczemy, rzekła, ale trzeba w takim razie żebyś waszmość był grzeczny.

Aron ledwie posiliwszy się u zięcia, gdy Laura nagliła, natychmiast z powrotem wyruszył, aby tam co można nieznacznie do ucieczki przygotować… Świeże konie musiano na kilku miejscach rozstawiać dla pośpiechu, i o kołach i osiach zapaśnych myśleć, żeby przypadek nie wstrzymał w

ucieczce, choć pogoni nie przewidywano. Mogła ją wszakże Dobkowa z rotmistrzem urządzić. Stary żyd miał wszystko w dobrej pamięci.

Przybywszy do Borowiec, poszedł do przepierzenia najprzód oznajmić p. Salomonowi, iż córka do niego i po niego przybywa… Stary nie wierząc uszom zrazu, rozpłakał się z radości… Ucieczka była mu wstrętliwą, lecz z Laurą gotów był do niej. Zdało się, iż w jednej chwili zapomniał o wszystkiem co ucierpiał… Więcej odzyskanie córki cieszyło go niż zapowiedziana swoboda… Pytał tylko po kilkakroć kiedy przyjedzie? Aron kazał mu oczekiwać rychło, oznajmił, że sam ją widział, że mówił z nią, że co chwila z Honorym razem nadjechać może. Przybycie podróżnych, ucieczka starego Dobka, nie mogły przejść niepostrzeżone w zwykłych warunkach życia p. komissarza i jego podwładnych. Aron też znając ich, przygotował wina antałek, do którego czy w istocie przymieszał jakiego ziela, Panu Bogu tylko wiadomo. I bez tego napój mocny, niepomiernie użyty, mógł poskutkować. Żółtuchowski tak był pewien swojego więźnia, że od początku osadzenia go, drzwi nawet w przeforsztowaniu znajdujących się opatrywać nie kazał, raz ich poprobowawszy, że były zamknięte. O wieczornej godzinie, gdy obok rotmistrz Poręba razem z Żółtuchowskim i pisarzem Kamińskim, pieśń o chmielu śpiewali na całe gardło, Aron otworzył drzwi te Dobkowi, który już od dawna był gotów. Na tarczanie ułożono obwinięty w kapotę skręcony kul słomy, z butami w jednym końcu, a chustką w drugim, który śpiącego człowieka o zmroku wcale nieźle przedstawiał… Stary wyszedł przez cały szereg izdebek aż do drzwi ostatnich; tu nałożył żydowski płaszcz i kapelusz, i razem z Aronem przesunął się na drugi koniec karczmy… gdzie nań Laura i Honory oczekiwali… Eliasz miał dla niego przygotowane ubranie, a na dworze stała bryka zaprzężona, która wszystkich zabrać miała… Gdy Laura upadła mu do nóg, Dobek o mało z płaczu nie dostał serdecznego śmiechu… i nie rychło mógł oprzytomnieć.

Po tem wzruszeniu musiał wypocząć, by myśli zebrać co mu czynić należało. Nie naglono o wyjazd, gdyż komissja piła, śpiewała, a obawy o odkrycie spisku nie było najmniejszej.

Gdy już sądzono, że się da zabrać, p. Dobek odezwał się dopiero z żądaniem, trochę dziwnem i bardzo niebezpiecznem, że wprzód na zamek koniecznie pójść musi, aby papiery niektóre poniszczyć, inne zabrać i w grosz na wszelki wypadek się zaopatrzyć. Pomimo najusilniejszych prośb i zaklęć Laury i Honorego – uparł się przy swojem, zaręczając, że im z Eliaszem nic się tam złego stać nie może.

Laurze, która mu towarzyszyć chciała, iść nie pozwolił. Musiano się zgodzić na tę wycieczkę, która wyjazd o parę godzin odraczała. Wyszli więc po ciemnej nocy sami jedni.

W miasteczku pusto było, a po drodze i koło zamku, Eliasz już ludzi rozstawił dla bezpieczeństwa, nim pana wypuścił. Do bramy dostali się nie spotkawszy nikogo, oprócz z dala snujących się straży. Tu pieczęcie były pozdejmowane, a dwa klucze, które mieli z sobą, wszystkie zamki otwierały, nie było więc najmniejszej trudności dostać się przez przedsień do dawnego mieszkania Dobka, które wszedłszy natychmiast za sobą Eliasz zaryglował. W zamku wszystko było uśpione. Przepiórkę trzymał ktoś zasadzony na niego, aby mu nie dać się włóczyć. Zaparto ze środka okiennice żelazne, aby bezpiecznie światło rozniecić. Drzwi wiodące do skarbca stały od ostatnich odwiedzin rotmistrza otworem, nie potrzebowali więc pracować nad zamkiem, spuścili się wschodkami w dół do lochu, w którym stały opróżnione kuferki.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.